

Dyskusja na spotkaniu promocyjnym numeru pisma „Scriptores”

pt. Rozmowy o kulturze przestrzeni, 27.09.05

Trybunał Koronny w Lublinie

Uczestnicy panelu:

Ewa Kipta – architekt, urbanista, pracownik Wydziału Strategii Rozwoju Urzędu Miasta Lublin, koordynator programu inicjatyw lokalnych dla dzielnic zaniedbanych; koordynator zespołu opracowującego program rewitalizacji dla miasta Lublina.

Romuald Dylewski – urbanista, główny projektant pierwszego po wojnie planu miasta Lublina, autor prac naukowych i popularyzatorskich z dziedziny planowania miast i regionów; kierownik Lubelskiego Zakładu Instytutu Gospodarki Przestrzennej w Warszawie; konsultant naukowy Wojewódzkiej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej; członek Państwowej Rady Gospodarki Przestrzennej w Rządowym Centrum Studiów Strategicznych.

Jacek Korbus – rzeźbiarz zajmujący się badaniami rzeźby w zakresie współczesnej sztuki publicznej i kształtowania współczesnego oblicza miast. Prowadzi prace w zakresie dużych plenerowych realizacji rzeźbiarskich; współtworzy pierwszy polski portal internetowy na temat rzeźby publicznej.

Bolesław Stelmach – architekt; założyciel biura architektonicznego Stelmach i Partnerzy; autor wielu projektów, min. budynku Fundacji Jana Pawła II w Lublinie przy Lubomelskiej, siedziby Telekomunikacji polskiej S.A. przy ulicy Chodźki, centrum hydroterapii „Atrium” w Nałęczowie, a także projektów, które aktualnie znajdują się w fazie realizacji (min. rozbudowy budynku Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego i przebudowy Centrum Chopinowskiego w Warszawie).

ZAPIS SPOTKANIA:

Joanna Zętar: Witamy na promocji kolejnego numeru naszego czasopisma „Scriptores”, która połączona jest z...

Marcin Skrzypek: ...z dopisaniem do niego dalszego ciągu. Numer nosi tytuł „Rozmowy o kulturze przestrzeni”, a my te rozmowy będziemy teraz prowadzić na żywo. Skąd pomysł na tytuł? Otóż z mojej ignorancji, ponieważ nie dysponowałem wiedzą, żeby móc swobodnie poruszać się w tej materii i stwierdziłem, że najlepszym sposobem będzie przepytanie specjalistów, co mają do powiedzenia. Musiałem pytać o podstawowe rzeczy i zmuszać ich, aby mówili językiem zrozumiałym, bo sam niewiele rozumiałem. Mam nadzieję, że wyszło to z korzyścią dla czytelników, że rozmowy są komunikatywne nie tylko dla specjalistów, ale także dla ludzi, którzy są użytkownikami przestrzeni. Być może jest to pierwsze pismo, które warto przeczytać właśnie dlatego, że jego redaktor jest ignorantem.

Przygotowując ten numer, nauczyłem się, że przestrzeń nie jest tylko objętością, pustką czy np. działką, która ma pewien metraż i cenę. Przestrzeń jest siecią relacji pomiędzy różnymi bytami (bytami intencjonalnymi i budynkami); siecią relacji pomiędzy tym co jest, tym co było i również tym, co będzie (np. naszymi ambicjami, czy marzeniami). Przestrzeń jest również wynikiem bardzo

skomplikowanej sieci relacji, nas do przeszłości, nas do natury, nas do siebie nawzajem. **Przestrzeń jest medium komunikacji.** Wiele możemy się z niej dowiedzieć również na nasz temat; kim my jesteśmy dla siebie, w jaki sposób siebie zauważamy, swoje potrzeby w przestrzeni publicznej. Nie wszystko jest dobre w tej przestrzeni i bardzo często redagując zadawałem pytanie „No to co zrobić żeby było lepiej?” I okazywało się, że system tych relacji przypomina rzeczywistość Kafkowskiego „Zamku” albo jakiś węzeł gordyjski, w którym nie można znaleźć początku kłębka.

Kiedy zadawałem pytanie, co zrobić żeby to zmienić, często padała odpowiedź, która mnie nauczyła pokory – że najpierw powinniśmy zadać sobie pytanie, czy chcemy cokolwiek zmieniać, czy mamy jakieś ambicje, czy mamy jakieś wizje związane z tą przestrzenią, czy po prostu ona nas w ogóle nie obchodzi. Bo przecież nie ma sensu zastanawiać się jak zmienić coś, co nas nie obchodzi. Wydaje mi się, że jesteśmy tu, ponieważ nas to obchodzi i chcielibyśmy coś zmienić.

Ewa Kipta: Bardzo się cieszę, że dyskusja zainteresowała tak wiele osób – jest to bardzo dobry znak na przyszłość. To, na co nasza przestrzeń jest chora, przestrzeń w różnym pojęciu, to jest właśnie taki „walkower powszechny”. To znaczy powszechne nieposiadanie na ten temat zdania. Jest to bardzo wygodne podejście, które obserwujemy i w życiu publicznym, ale również w wielu aspektach życia kulturalnego. To ma swoje korzenie w modelu edukacji kulturalnej, któremu ja, moje roczniki, byliśmy poddani. Mniej więcej na poziomie szkoły średniej wybierało się na przykład albo wychowanie plastyczne, albo wychowanie muzyczne. Był to w gruncie rzeczy wybór między głuchotą, a ślepotą. I z drugiej strony edukacja kulturalna dotyczyła raczej kwestii tworzenia, niż kwestii konsumowania kultury, czyli tego, na co nasze społeczeństwo cierpi, a co jest, że tak powiem, „niedostatkiem konsumpcyjnym”. **Nie umiemy „trawić” kultury.** Również kultury przestrzeni, również kultury muzycznej. Jeżeli już mamy nawet jakieś ambicje, to uważamy, że one nam wystarczą.

Czasem udaje się żyć na kawałku przestrzeni, który jest foremny i „odziedziczony”. Bardzo często takie odziedziczone walory przestrzenne są nieuświadomione albo uświadomione tylko wtedy, gdy jest już za późno, bo uległy zniszczeniu. Z drugiej strony mamy ogromną ilość przestrzeni niczyjej. W blokowiskach przestrzeń niczyja zaczyna się za progiem mieszkania. Oswajanie tej przestrzeni jest w gruncie rzeczy zadaniem wymagającym wysiłku od wszystkich, którzy widzą tą przestrzeń. I teraz istnieje pytanie: „czy to jest w ogóle ciekawe?” Według mnie, na to pytanie każdy z państwa sam sobie musi odpowiedzieć. Jest bardzo istotne, aby wiedzieć, że kształtowanie przestrzeni jest prywatną sprawą i kwestia osvajania przestrzeni jest podstawą tego, żeby w ogóle zastanowić się nad jej jakością.

Marcin Skrzypek: Czy istnieje jakiś transfer tej wrażliwości na problemy przestrzeni – transfer od strony specjalistów do ludzi, którzy mieszkają w blokach?

Ewa Kipta: Wydaje mi się, że osvajanie przestrzeni w istniejących blokach jest kwestią między mieszkańcami a administracją. Tutaj fachowcy zrobili swoje i ...

Marcin Skrzypek: ...mogą odejść?

Ewa Kipta: Nie. Oni się jeszcze mogą przydać. Ale dopiero wtedy, gdy zostaną wyartykułowane lokalne potrzeby mieszkańców.

Marcin Skrzypek: A czy nie przydałby się jakiś „akuszer” tych potrzeb, który pomógł by im je wyrazić?

Jacek Korbus: Transfer wrażliwości, o którym pan mówił następuje kiedy ludzie są w pełni świadomi własności danej przestrzeni, to znaczy uczestnictwa w niej, współwłasności; nie tylko tego, że przestrzeń jest częścią zabudowy, ale że jest fragmentem naszego bycia, naszego systemu kultury. Kiedy czujemy, że przestrzeń jest po prostu częścią wszystkich wartości, które sobą reprezentujemy. Tylko teraz pojawiają się problemy edukacyjne. Po wykonaniu pracy kształtowania przestrzeni przez specjalistów, następuje etap świadomego w niej „bycia”. O tyle ono jest świadome, o ile ludzie są wykształceni do „konsumowania” przestrzeni. Stąd na Zachodzie mówiło się o rzeźbie publicznej, o przestrzeni publicznej jako o wspólnej wartości. Ale będzie ona wspólna, o ile ludzie będą wykształceni do tego, żeby brać odpowiedzialność za nią.

Marcin Skrzypek: Stąd wynika pytanie: kto ma zrobić pierwszy ruch? Bo ludzie tego ruchu prawdopodobnie nie zrobią.

Jacek Korbus: To spotkanie jest pierwszym ruchem. Zazębienie musi nastąpić z dwóch stron, nie tylko ze strony jakiegoś architekta czy rzeźbiarza, nawet najlepszego, który stworzy dzieło. Tak było w dawnych wiekach, kiedy możnowładcy narzucali swój model. Obecnie jest trochę inaczej. Przynajmniej powinno być.

Bolesław Stelmach: Przyznaję, że z wielkim zdziwieniem zobaczyłem tyle twarzy na sali. Dziękuję, że państwo tutaj przyszli i naprawdę jestem zaskoczony, że kogokolwiek ta tematyka interesuje, w tym zatamizowanym społeczeństwie, które nie miało swojej tożsamości i osobowości przez dziesięciolecia.

Kiedys taka dyskusja odbyłaby się w Stowarzyszeniu Architektów Polskich. Ale od ładnych dziesięciu czy od piętnastu lat takiej dyskusji nie ma. Skoro już tutaj jesteśmy, wydaje mi się, że możemy przykładowo podyskutować na temat ocalenia osiedli. Dziesięć lat temu pan Romuald Dylewski napisał krótki artykuł na temat rewitalizacji osiedla Mickiewicza. Jeżeli taki program rewitalizacji osiedla pojawiłby się dziś, to byłby to świetny pretekst do dyskusji z ludźmi, którzy tam mieszkają; na temat wartości, na temat przestrzeni, w której przyszło im żyć. Mamy co najmniej dwa świetne osiedla w Lublinie, dzięki którym Lublin znajduje się w najbardziej specjalistycznych podręcznikach architektury. Osiedle autorstwa Oskara Hansena, które jest absolutnym wyjątkiem w skali ogólnopolskiej, jednym ze świetnych przykładów modernistycznego myślenia o mieszkalnictwie. Próby rewitalizacji, próby kompleksowego i profesjonalnego spojrzenia na te osiedla, a także złączenie całego aparatu socjologicznego pod względem kulturowym, byłoby dla Lublina zupełnie fenomenalnym...

Ewa Kipta: Według mnie osiedle Słowackiego i osiedle Mickiewicza są na tyle żywotne, że nie wymagają rewitalizacji. Co innego jest tam potrzebne, ale na pewno nie rewitalizacja.

Romuald Dylewski: Kultura przestrzeni to szczególny temat. Szczególny bo, można dyskutować o niej ogólnie i uznać, że to w końcu nie jest taka wartość jak na przykład cena działki. Szczególny, bo z jednej strony trudno uchwytne (w dzisiejszych czasach szczególnie trudno uchwytne), a istniejący. Co więcej tak bardzo istniejący, że ku mojemu zdumieniu, jako fachowca trudniącego się projektowaniem miast, staje się on tematem priorytetowym w dokumentach polityków unijnych. Kultura przestrzeni jest tam uznawana za wartość warunkującą rozwój miast. Teraz rozwój miast odbywa się drogą konkurencji. Może w Polsce jeszcze nie tak bardzo, ale w innych krajach – na Zachodzie, w USA – ludzie wybierają miejsca, które są kulturowo wartościowsze, a pomijają te, gdzie kultura przestrzeni jest niższa. Ten nieuchwytny czynnik, który można z łatwością rozmyć w rozmowach i dyskusjach, jest wartością autentyczną wyrażoną już w pieniądzach, w decyzjach politycznych.

Dla mnie jest w tym coś niezwykłego. Miasta, które są piękniejsze, cenniejsze kulturowo rozwijają się, przyciągają mieszkańców, przyciągają ludzi. Miasta, które nie mają tych wartości – odpychają. To zostało dostrzeżone i jest wykorzystywane. A zatem jest to autentyczna wartość. Porównując jak to jest na Zachodzie, a jak u nas, muszę powiedzieć, że nasze społeczeństwo jeszcze nie dojrzało, aby tę wartość uznać za istotną. Owszem większość ludzi ją docenia, ale ciągle cena działki i metraż są cenniejsze od jakości kulturowej. To jest coraz bardziej dostrzegane. Ta różnica, to napięcie między zachodnią Europą a Polską narasta. Najlepszym dowodem jest dzisiaj to spotkanie. Narasta potrzeba realizacji, wprowadzenia w życie tych wartości.

Przez dłuższy czas współpracowałem z Urzędem Miejskim w Lublinie w rozmaitych funkcjach i miejscach i byłem świadkiem podejmowania rozmaitych decyzji, które warunkowały jakość przestrzeni miasta. W tych decyzjach, proszę mi wierzyć, sprawa kultury, po prostu nie miała żadnego znaczenia, chyba, że jako dodatkowy „kwiatuś”. Nigdy się nie spotkałem z tym, żeby miała jakąś wartość przeważającą, decydującą. Musimy ten temat postawić poważnie. Przedstawić go politykom, po prostu potrząsnąć nimi, żeby go zauważyli. Mogą nie zauważać, mogą nie być wrażliwi na kulturę przestrzeni, ale muszą dostrzec co się mówi na ten temat gdzie indziej i jakie są perspektywy rozwoju miasta Lublina, czy Lubelszczyzny.

Ewa Kipta: Ciągłe zapominamy, że w Lublinie są służby konserwatorskie, na które generalnie się narzeka. Ale to właśnie one są najbardziej skutecznym mechanizmem, zapobiegającym dewastacji przestrzeni kulturowej w śródmieściu Lublina w momencie, kiedy przestaje działać hamulec w postaci zupełnego braku pieniędzy. Do Lublina przyjechałam po raz pierwszy chyba w 1979 roku. Wówczas było tu bardzo ładne Stare Miasto i historyczne centrum nietknięte procesem zmian. Miasto, a zwłaszcza śródmieście było pojmowane w sposób statyczny. Tutaj się nic nie mogło zmienić poza normalnym zniszczeniem. Dynamika miasta jest czymś, co zaczęło być pojmowane dla nas, nawet dla fachowców, właściwie od 1990 roku. To są zjawiska całkiem świeże i teraz zaczynamy oswajać się z myślą, że można tym procesem sterować, że trzeba go ucywilizować. I nieprawdą jest, że nie dbano o jakość przestrzeni. Dbano o jakość – i nadal się dba, tylko szkoda, że jest to podawane w sosie, że tak powiem, wojny racji ekonomiczno-progresywnych z obroną okopów Trójcy Świętej przez konserwatorów. To nie jest takie czarno-białe...

Bolesław Stelmach: Czy na sali jest radny miasta Lublina? Pytam, ponieważ to ma być dialog. Do naszego dialogu trzeba, z jednej strony zatowarzyszonych jednostek, ludzi takich jak my, z drugiej strony profesjonalistów, takich jak pan doktor Dylewski, no i adresatów tych wypowiedzi, czyli radnych, którzy uchwalają w tym mieście prawo. Jeżeli brakuje jednego z tych elementów to mamy efekt taki, jaki jest. Rozejdziemy się do domów, a Lublin jak nie miał planu śródmieścia, tak nie będzie go miał. To nie musi być wcale jeden plan na cały Lublin w setkach, tysiącach hektarów. Wolałbym, żeby to było tak jak np. w Gdańsku, gdzie jeśli mamy problem na jednym, dwóch hektarach, to rozpoczynamy plan na dwóch hektarach – osobiście widziałem taki plan dla 5000 m.kw. Czy jest to do pomyślenia w Lublinie? W Gdańsku, radni uznali, że jest to tak istotne miejsce, że trzeba zmienić dla niego plan, zrobić konkurs. Uchwała przeszła jednogłośnie. Skoro jednak zainteresowanie problemami przestrzennymi jest takie jak widzimy, to myślę, że efekty takich działań są skazane z góry na niepowodzenie.

Ewa Kipta: Mam nadzieję, że są przynajmniej media. Proszę państwa, faktycznie niezbędne jest podejście do planów miejscowych. Myślę, że pan Dylewski mógłby powiedzieć coś na temat tego, jakie plany są potrzebne w mieście, żeby coś uporządkować.

Romuald Dylewski: To jest bardzo konkretna propozycja. W tej chwili raczej wolałbym wrócić do organizacji tego spotkania. W programie była dość interesująca propozycja, aby zaproponować konkretne działania, czy hasła godne szczególnego podkreślenia. Oto moje propozycje:

1. **Powinniśmy podjąć proces uznania kultury przestrzennej za wartość priorytetową**, przede wszystkim w decyzjach. I chciałbym, ażeby odnotowano to we wnioskach naszego spotkania. Nie uzasadniam tego, bo uzasadnieniem jest treść „Scriptores”. Proszę przeczytać. Jest to jednakże proces, trzeba więc działać, aby to zostało uznane za „modę” wśród radnych, urzędników i innych decydentów miasta.

2. Sprawić, aby **projekty urbanistyczne miasta, a także ważniejsze decyzje przestrzenne, architektoniczne były jawne w fazie projektu, a nie dopiero w fazie ich realizacji**. Jest to warunek uważnego traktowania problemu, a także warunek demokracji. Mimo, iż jestem w tym względnie związany z Lublinem niejako od kuchni, dostrzegam rozwój miasta dopiero wtedy, gdy plac jest nagle ogradzany i coś się na nim buduje, co jednak – nie wiem. Na ogół wtedy telefonuję z zapytaniem: co tam się u was dzieje? A jaką słyszę odpowiedź? Że powinienem wiedzieć, bo jestem prezesem Towarzystwa Urbanistów Polskich oddziału Lubelskiego. Powinienem wiedzieć, a nie wiem.

Jawność projektów urbanistycznych miasta i ważniejszych decyzji, to wymóg stawiany władzom, decydentom. Nie chcę rozszerzać problemu, ale nasz system gospodarki przestrzennej jest pod tym względem bardzo w tyle. W racjonalnych systemach jest to po prostu wpisane w ustawę i nie potrzeba tego wymagać od kogoś, bo jest on zobowiązany ustawowo, aby cały proces był jawny.

3. Przyjąć zasadę **dyskusji środowiskowej nad ważniejszymi projektami rozbudowy, czy przebudowy miast**. To o czym przed chwilą kolega Stelmach wspomniał, takie spotkania powinno

mieć Stowarzyszenie Architektów już od dawna. Ale na obronę architektów powiem, że zarówno Stowarzyszenie Architektów, jak i Stowarzyszenie Urbanistów Polskich starało się doprowadzić do tego, żeby powstało coś w rodzaju forum dyskusyjnego na temat rozwoju miasta Lublina. Pomysły były, koncepcje były, nigdy nie mogło dojść do realizacji, z rozmaitych względów. Uważam, że ta inicjatywa, tutaj właśnie, w tym neutralnym ośrodku jakim jest Brama Grodzka jest wyśmienitą okazją żeby podjąć tę ideę, by powołać trwale forum dyskusyjne na temat Lublina, na którym byłyby przedstawiane te projekty, głównie z punktu widzenia kultury przestrzeni. Trzeba takiego gremium, trzeba takiej dyskusji. Tak się dzieje w Unii Europejskiej. Od razu powiem, że jestem człowiekiem upoważnionym do tego, żeby zgłosić akces do tego forum w imieniu Towarzystwa Urbanistów, a nawet Stowarzyszenia Architektów i że mnie proszono, by jakoś tę myśl wprowadzić w życie. Inicjatywa Ośrodka Bramy Grodzkiej pasuje do tego, żeby właśnie tutaj zaproponować utworzenie tego forum.

Jacek Korbus: Ze wszystkim się zgadzam, ale zapominamy o pewnej istotnej relacji. Z jednej strony są specjaliści, realizatorzy, z drugiej po prostu mieszkańcy. W tej chwili relacje te są ukształtowane zasadzie uzurpacji, przez takich, lub innych decydentów lub specjalistów. Brakuje natomiast działań edukacyjnych w sferze wypowiedzi czy uczestniczenia w przestrzeni. Pojawiają się na przykład pomniki, wobec których nikt nie może zaprotestować. Nie chodzi o osoby tam przedstawiane, tylko o sam fakt; że ludzie są poza obiegiem dyskusji na ten temat. Dlatego nie powinniśmy się skupiać jedynie na refleksjach czysto architektoniczno-urbanistycznych, ale też zdać sobie sprawę, że ktoś zadaje gwałt naszym gustom.

Marcin Skrzypek: Z tego co wiem, takie publicznie wystawiane dzieła sztuki czy pomniki, nie wspominając o planach urbanistycznych, powinny przechodzić procedurę konkursową?

Jacek Korbus: Dokładnie. Ale powinny ją poprzedzać działania upowszechniania kultury, kształtowania gruntu, przygotowywania ludzi do odbioru, do uczestniczenia, aby pojawiła się powszechna świadomość. Co z tego, że tylko grono specjalistów stwierdzi, że tak a tak trzeba coś zrobić, że coś ma jakąś wartość?

Marcin Skrzypek: Myśli pan o zajęciach z młodzieżą?

Jacek Korbus: Tak. Ale trzeba też w ogóle moderatora przestrzeni. I to władze miejskie powinny działać aktywnie w tym zakresie. Spójnie, i jawnie.

Marcin Skrzypek: Dobrym przykładem tego, o czym pan mówi był konkurs po zniszczeniu wieżowców World Trade Center. Cały świat zastanawiał się wtedy, co będzie tam pasowało...

Jacek Korbus: Oczywiście. Kształtowanie każdej takiej koncepcji powinno być podejmowane przez wybitnych specjalistów. Ale niemniej ważna jest kwestia uczestnictwa w tym ludzi, żeby nie było tak, że specjaliści sobie, a ludzie sobie. Katedry gotyckie są dlatego wyrazem idei uniwersum tamtych czasów, bo były budowane przez 200 lat przez różnych ludzi i były odzwierciedleniem ich wizji duchowości epoki. U nas w tej chwili jest to zupełnie zachwiane.

Romuald Dylewski: Ośrodek „Brama Grodzka” jest właściwym miejscem dla tej dyskusji właśnie dlatego, że nie jest ściśle profesjonalny. Oczywiście może on być wspierany przez organizacje specjalistyczne, ale ma pan w pełni rację – to jest sprawa kultury, sprawa znacznie szersza, wykraczającą poza kręgi profesjonalne.

Bolesław Stelmach: Ad vocem. Dyskusja w Teatrze NN wokół „Scriptores” nie zastąpi ani dyskusji profesjonalnej w TUP-ie i w SARP-ie, ani nie zastąpi dyskusji z udziałem władz miejskich. Jeżeli więc będziemy traktowali ją jako listek figowy i liczyli tylko na Teatr NN, to wydaje mi się, że nie tędy droga.

Marcin Skrzypek: Chciałbym przekazać teraz głos osobom z publiczności.

Zbigniew Korzeb: Chciałem wyrazić swoje uznanie dla pana Dylewskiego w kwestii zachęty do publicznej debaty. Chciałem jednak zwrócić uwagę na pewną ciekawą rzecz. W Lublinie mamy bardzo wąskie grono urbanistów, ludzi którzy się nawzajem znają. Doliczylibym raptem do trzech osób. Dwie tu miały być, jednej nie ma. Więc jeśli pan mówi o „utajnianiu” dyskusji, to mi wygląda na ponury żart środowiskowy. Natomiast a propos utajniania planów, sam tego doświadczyłem, bo dostałem ostatnio od prezydenta miasta pismo, w którym przywołał Ustawę o Ochronie Tajemnicy Państwowej – wręcz – o Ochronie Danych Osobowych, które nie pozwalają mi udzielić żadnej informacji, bo musiałby mi podać nazwiska właścicieli gruntów. Rzeczywiście, każda próba zorientowania się w tej sprawie kończy się fiaskiem. A potem jesteśmy zaskakiwani konkretnymi rozwiązaniami. Jak w ogóle do tego dochodzi, że tak zawłaszcza się przestrzeń, o której mówimy, że jest publiczna?

Druga część tego zagadnienia to **kłopoty z planami zagospodarowania**, które mają osoby będące – jak widzę – na sali. Bo jak tu dać pozwolenie, kiedy planu nie ma, albo jak dać pozwolenie, kiedy plan jest po prostu zły? Potem się okazuje, że trzecia osoba, (której tu nie ma), robi mi publiczne awantury. I tu dochodzimy do meritum. Trzeba powiedzieć, że polityka przestrzenna naszego miasta została zdominowana przez jedną osobę o nadprzeciętnej sile argumentacji. Pewien znany mi architekt mówił, że jest to jedyna znana mu osoba, która potrafi uzasadnić konieczność wbicia gwoźdźcia łebkiem w ścianę. Na oko bez sensu, ale zaraz usłyszymy, że owszem, nie jest to praktyczne, ale jakże inspirujące.

I tak się u nas tworzy plany przestrzennego zagospodarowania. Jest ich już cztery części, kompletny projekt architektoniczny Lublina. Jednak jak się na nie popatrzy, to włosy dęba stają. Radni się na tym nie znają. Osoba, o której wspomniałem powie, że jest OK, jej szef powie radnym, że musimy to zrobić, bo przodujemy w Polsce w planowaniu przestrzeni. Mamy pierwsze miejsce i warto byłoby je utrzymać. Potem radni dostają na jedną sesję trzysta sprzeciwów, a na drugiej wszystkie odrzucają, bez względu na to czy one są dobre, czy złe – z powodu opinii jednej osoby. I w ten sposób rodzimy nieszczęście. Jest jeszcze jeden aspekt: ile kosztuje planowanie przestrzennego? Ilu ludzi bezwzględnie niszczy się, zostawiając ich tereny na trzydzieści lat bez możliwości zabudowy (bo powstanie np. osiedle Rudnik)? Nigdy nikt ich nie zabuduje, ale plany są. Takich przykładów jest mnóstwo. A obywatele zaczynają się o swoje upominać. Wpływają skargi do miasta, chcą pieniędzy. Dobrze – mówią – zabraliście ten grunt, czy blokujecie go nam, to po prostu zapłaćcie

i rozstańmy się. Tu miasto też jest oporne. Jest więc jakaś siła niszczycielska urzędników tego miasta. Debaty publiczne? Owszem, porządkowałyby może podejście do problemu. Z urbanistami, z obywatelami, z urzędnikami należy rozmawiać. Ale trzeba także uświadomić urzędnikom ich miejsce. Bez tego oni nigdy nie zrozumieją co powinni dla społeczności zrobić.

Są rzeczy naprawdę niedorzeczne – np. w planach powstają całe kwartały ulic z budynkami, które wszystkie są w kształcie litery „C”. Nie wiadomo po co. I jest to już uchwalony plan, który stał się prawem miejscowym. I teraz żal do pana Dylewskiego, bo jest pan zbyt delikatny. A należałoby tupnąć i powiedzieć: ja się na to nie zgadzam! To samo dotyczy drugiego nieobecnego urbanisty, który, jak z nim rozmawiałem na ten temat, to spytał, czy go wysyłam z procą na czołgi, albo z motyką na Księżyc. I teraz w tej sytuacji, co my, obywatele mamy zrobić? Owszem będziemy robili debaty, ale będziemy liczyli na Stowarzyszenie Urbanistów, czy na inną organizację samorządową, że kiedy wykażemy czyjąś głupotę, to ktoś zostanie skreślony z listy członków. To jest prosty sposób na pozbycie się problemu. Wszystkich niedouczonego urzędników, a w tym wydziale jest ich trochę, trzeba przeszkolić raz jeszcze, albo po prostu zwolnić z pracy.

Planowanie przestrzenne nie musi się odbywać w urzędzie. Ono się może odbyć przez konkurs, tak jak to robią gminy. Przyjedzie pracownia, weźmie milion, dwa lub trzy, przedstawi projekt. Od niego będzie można wtedy wymagać, podjąć nad nim dyskusję. W wydziale pracuje około trzydziestu osób, przez te piętnaście, osiemnaście lat są to dziesiątki milionów złotych. A potem okazuje się, że nie wiadomo, o co chodzi. To po co oni pracowali? Gdzie jest ta przestrzeń, o której pan mówi, że jest ważna? Pan architekt powie, że będzie ją budował, pan rzeźbiarz powie, że da się ją kształtować. Ale przyjdzie urzędnik i to po prostu uniemożliwi. I tak się w Lublinie stało. Trzeba mieć odwagę to powiedzieć i odzyskać tę przestrzeń publiczną. To jest jedyna droga otwartego buntu – media, dyskusje takie jak ta. Ale wyciągajmy z nich wnioski i nie bądźmy grzeczni.

Marcin Skrzypek: Zanim padną odpowiedzi – czy mógłby pan się przedstawić?

Zbigniew Korzeb: Nazywam się Zbigniew Korzeb. Zajmuję się budowaniem i z tymi problemami borykam się na co dzień. Powiem państwu, że to jest koszmar. Układ sił w mieście z – to trzeba mówić wprost – konkretnymi bezwolnymi urzędnikami, którzy nie są w stanie podjąć najprostszych decyzji o planie przestrzennego zagospodarowania albo robią wodę z mózgu, prowadzi do skutku, że te wszystkie błędy są narysowane na planie, a potem ludzie mają z tym dramatyczny problem, bo to jest po pierwsze bez sensu, po drugie łamie wszelkie podstawowe zasady i po trzecie, jest za późno. To się wszystko stało i mamy plan na najbliższe piętnaście, dwadzieścia lat.

Za to co zrobiono Lublinowi powinien się tu odbyć jakiś odpowiednik Trybunału Stanu. Tylko wy, spece od urbanistyki i inni musielibyście zabrać głos w tej sprawie: za zniszczenie jakiegoś miejsca – więzienia może nie – ale np. trzeba sprzątać ulice. Za utajnianie informacji o planie areszt. Za wiele takich rzeczy trzeba by kogoś po prostu w końcu pociągnąć do odpowiedzialności.

Przestańmy być grzeczni, bo będziemy mieli efekty następujące: McDonald przy Poczcie Główniej, który tam nigdy nie powinien stanąć. Jedziemy 3-go Maja w dół i prawej stronie: budka za budką, w centrum miasta. Szopy, pawiloniki. Na ulicy Zana „przepiękny” pawilon Komfortu. Przyjeżdżają potem ludzie z Warszawy i pytają: „A co to, u was dzielnicę przemysłową przenieśli w takie ładne

miejsce?” To są rzeczy o których się mówi, ale nie wyciąga wniosków.

Bolesław Stelmach: Może cokolwiek obcesowo i barwnie, ale jednak wziął byka za rogi pan Korzeb.

Krzysztof Michalkiewicz (zastępca prezydenta Lublina): Ład przestrzenny wymaga też ładu w dyskusji i prosiłbym, albo wypowiadać się konkretnie, bez obraźliwych insynuacji. Czy kiedy obywatel staje się urzędnikiem przestaje być obywatelem? Moim zdaniem dalej jest obywatelem. Czy nagle głupiej? Chyba niekoniecznie. Przecież niektórzy urzędnicy, jak np. pani Ewa – siedząca tutaj – są mądrzy. Niektórzy są troszeczkę mniej mądrzy, ale niekoniecznie wszyscy są niedouczeni. Jeśli ma pan na myśli konkretne osoby, proszę złożyć skargę na piśmie.

Zbigniew Korzeb: Już złożyłem! Teczka leży w gabinecie prezydenta.

Krzysztof Michalkiewicz: Ale jeśli ktoś krzyczy, to nie znaczy, że ma więcej racji. Wołałbym jednak, żeby ta dyskusja miała wyższy poziom kulturalny, bo zarówno i Teatr NN jest instytucją kultury i ład przestrzenny jest poważną sprawą. I prosiłbym o poważną dyskusję, bo jeżeli zaczniemy obrażać ludzi, to przez to nie będzie więcej ładu.

Jeżeli chodzi o merytoryczną stronę to jestem jej bardzo ciekawy, bo uważam, że dyskusja jest ważna i cieszę się, że tak dużo osób w niej uczestniczy. Chciałbym natomiast, żeby to była dyskusja na argumenty, na fakty, na konkretne propozycje, a nie pretekst do obrażania pewnych osób. Tym bardziej, że tych ludzi przeważnie nie ma na sali.

Zbigniew Korzeb: Odpowiem panu krótko. To o czym mówiłem jest o tyle konkretne, że właściwe pisma, oraz wnioski zostały złożone. Proszę mi wybaczyć, ale jeśli pan prezydent Mazurek [zastępca prezydenta] nie odpowiedział mi i większości wnioskodawców na pisma sprzed paru lat, a rzadko na nie w ogóle odpowiada, to ma pan konkret pierwszy. Resztę opisałem.

Krzysztof Michalkiewicz: Ponieważ apeluję o merytoryczną dyskusję, to nie wdam się w taką wymianę zdań. Jeżeli obywatel składa pismo i nie otrzymuje odpowiedzi, to oczywiście może złożyć skargę na bezczynność organów. Administracja jest prostą sprawą; przecież jest Kodeks Postępowania Administracyjnego. Natomiast publiczne obwinianie i krytykowanie osoby bez jej udziału jest mało eleganckie.

Ewa Kipta: Pozwolę sobie na „skręcenie” dyskusji do meritum. Pamiętam swojego czasu, że ja i zespół, który pracuje w Wydziale Strategii i Rozwoju, opracowywaliśmy m.in. plan miejscowy dla Bronowic i Kośminka. Wtedy powstał projekt dla rejonu ulicy Wyzwolenia. Powstawały plany, które były bardzo dokładnie konsultowane z mieszkańcami. Ten zespół na prawdę dobrze działał. Problem polega na tym, że przyjęto założenie (powiedziałabym niemerytoryczne, a bardziej ambicjonalne), że przy pomocy narzędzia, jakim była poprzednia Ustawa o Zagospodarowaniu Przestrzennym, uda się zrobić plan na całe miasto. Jest to założenie karkołomne, porównywalne z przelewaniem oceanu łyżką. Ustawa ta wymagała bardzo dokładnych ustaleń planistycznych,

pewnego warsztatu, który nie jest adekwatny do skali miasta. To jest powód, dla którego ten plan nie jest czytelny; nie za bardzo nadaje się do dyskusji publicznej. I są naprawdę duże kłopoty z jego konsumowaniem, a tym bardziej z jego zakończeniem.

W międzyczasie ustawa się zmieniła, a co gorsze są dalsze zakusy na jej zmianę. W przeciagu ostatnich lat **Ustawa o Zagospodarowaniu Przestrzennym zmieniała się średnio co dwa lata**. A przecież dobry plan robi się dwa lata, zwłaszcza z udziałem mieszkańców. Jesteśmy więc w pewnym metodycznym pacie i trzeba się do tego przyznać. To jest dobry moment aby zacząć rozmawiać. Postawienie teraz postulatów dyskusji publicznej nad projektami planu – a nie nad gotowym do zatwierdzenia materiałem – jest czymś, co naprawdę może wprowadzić istotne zmiany do naszej rzeczywistości. Po pierwsze, może nas wszystkich „uwłaszczyć” na przestrzeni tego miasta; w sensie psychicznym, nie własnościowym.

Kiedyś razem z Markiem Stasiakiem, którego tu nie ma, dyskutowaliśmy o tym, że lata PKZ-ów, a także innych podobnych instytucji, lata dbania przez państwo o zabytki spowodowały, że normalny obywatel uważał, że w tych sprawach nie ma nic do gadania, że państwo wszystko zrobi. Efekt jest taki, że dziś nadal jest strasznie dużo do zrobienia. Dlatego **ważne jest psychiczne „uwłaszczenie” nas na przestrzeni, w której mieszkamy**. I temu służy dyskusja. Tak naprawdę dyskusje o przestrzeni publicznej zaczęły się w Anglii w latach 80., kiedy architektura była bardzo autorska, bardzo brutalistyczna, bardzo modernistyczna. Nagle okazało się, że społeczność lokalna tego nie akceptuje i ją niszczy, fizycznie niszczy. Jako lekarstwo na ogromną skalę wandalizmu wymyślono konsultację publiczną. Taki był scenariusz. Może go upraszczam, ale chodzi o to, żeby nie „zawłaszczać” decydowania o cudzej przestrzeni. Architekci są potrzebni, żeby proponować wizję, ale to nie daje im prawa decydowania o wszystkim.

Marcin Skrzypek: Czy w przypadku Lublina takie architektoniczne wizje istnieją?

Ewa Kipta: Jest wizja Bolka Stelmacha i jest dużo innych. Tylko chodzi o to, żeby te wizje nie kopały się po kostkach.

Ryszard Racki: Jestem pracownikiem Wydziału Architektury. Zadał pan pytanie, czy takie wizje w Lublinie istnieją. Macie państwo okazję gościć nestora lubelskiej urbanistyki, pana Dylewskiego, który jest pierwszym – nie chcę przesadzić – wizjonerem miasta. Bo co to jest planowanie przestrzenne? Myślenie zaczyna się od wizji, czyli od tego, jak coś ma wyglądać. I potem, po kolei małymi krokami zaczyna się dochodzić do szczegółów. Ewa mówiła o wspólnej, ciężkiej pracy, kiedy to poprzez dyskusję doprowadzało się do konkretnego rysunku planu. Chciałem powiedzieć jedną ważną rzecz, która zaprzepaściła obecna ustawa. Kształtowanie przestrzeni nie jest działaniem jednorazowym. To nie jest tak, że dzisiaj coś zaplanujemy, a jutro już wszystko będzie ślicznie. To jest działanie non stop. Są specjaliści, którzy tymi sprawami się zajmują. Chcą rozmawiać z inwestorami, chcą rozmawiać z właścicielami. Nieprawdą jest, jakoby wstrętny urzędnik nie chciał rozmawiać z natrętnym petentem.

Wizje tworzą się już od bardzo dawna, poprzez wizję z 1969 roku, poprzez wizję miasta z roku 1986, przez kolejne zmiany. Mówimy o tej przestrzeni, której ból odczuwamy; każdy osobiście,

fizycznie. Mówiąc o płocie sąsiada, o swoim płocie, krawężniku, o swoim drzewku, które jest śliczne, ale nagle ktoś wymyślił, że trzeba je wyciąć bo poprowadzi tędy droga. Tak jakby nie można było go ominąć. To jest właśnie ten ból przestrzeni własnej i przestrzeni cudzej. Mówimy tutaj o uwłaszczeniu pojęcia przestrzeni, żebyśmy nauczyli się mówić i myśleć, że przestrzeń „ta obok” nie jest niczyja – jest moja i nasza. Jest to ból ale i trud każdego z nas.

Katarzyna Sobczak: Katarzyna Sobczak, Architektura Krajobrazu, KUL. Mnie jako architekta krajobrazu interesują tereny zieleni. Jak ja, jako mieszkanka Lublina utożsamiam się z tą przestrzenią? Jak uczulić mieszkańców Lublina, że jest to przestrzeń wspólna – nasza, nie moja?

Jacek Korbus: Wracając do wypowiedzi pana Korzeba, uważam że obrażanie się na emocjonalne wypowiedzi nie jest potrzebne ze strony „gremiów decydujących”.

Krzysztof Michalkiewicz: Ja się nie obrażam.

Zbigniew Korzeb: Ja po prostu mam taki styl mówienia.

Jacek Korbus: Dyskusje za rzadko się odbywają i stąd biorą się emocje. Nie chodzi o to, żeby dyskusje, czy dialog były listkiem figowym. One oczywiście niczego nie zastąpią, ale istnieje potrzeba publicznego artykułowania pewnych istotnych spraw. Pani pytanie jest pytaniem o relację między miastem, decydentami, całą strukturą, między systemem prawnym, architektami, urbanistami, między wszystkimi uczestnikami tego zjawiska. Te sprawy nie powinny rozgrywać się tylko wewnątrz nas, ale powinny być objęte dialogiem, a owoce miejmy nadzieję przyjdą.

Bolesław Stelmach: A mi się wydaje, że to jest bardzo proste. Te parki, te przestrzenie zielone i skwery powinny być po prostu piękne i zadbane, a wtedy każdy z nas będzie się z tą przestrzenią identyfikował.

Katarzyna Sobczak: A co z placem miejskim?

Bolesław Stelmach: Mówimy o każdym placu, o każdym miejscu, które powinno być przeanalizowane. **Konkretne koncepcje powinny wyłonić się w trakcie dyskusji specjalistów, społeczności i radnych.** Na dzień dzisiejszy poza deptakiem i Parkiem Saskim nie widzę w Lublinie przestrzeni, z którą mógłbym się identyfikować. Tego po prostu nie ma. Więc kiedy słyszę jak architekci od pokoleń dbają o przestrzeń Lublina, oraz ją kształtują, to myślę, że w większości wypadków tracili czas. Przy czym wszyscy jak tu jesteśmy narzekamy, że nam nie wychodzi.

Ewa Kipta: Przepraszam, ale niezupełnie „nie wychodzi”. Gdyby nie wychodziło, nie przeniosłabym się do Lublina. Mam swoją teorię na temat „przywłaszczenia” sobie okolicznej przestrzeni (w pozytywnym sensie), nie na własność, lecz w celu jej użytkowania. Z moich obserwacji wynika, że takie „przywłaszczenie” wymaga pewnego wysiłku. Wypróbowywałam to na sobie i na przestrzeni, której nie lubiłam.

Pojawia się kwestia wysiłku i kwestia świadomości; być może również i odpowiedzialności. Takim zabiegiem, może wymagającym trochę wysiłku, jest na przykład utrzymanie czystości. Na Bronowicach, na brzegu Bystrzycy, tam gdzie teraz jest ścieżka rowerowa było kiedyś wysypisko śmieci. Pewnego razu zrobiliśmy eksperyment: odwiedziliśmy wszystkich mieszkańców ulic przylegających do rzeki i rozdaliśmy im skserowane kontakty do firm wywożących śmieci. Poprosiliśmy ich także, żeby zwracali uwagę na to, żeby inni nie śmieci. I w ciągu miesiąca udało się na trwale wprowadzić tam porządek. Na trwale. Czyli odbyło się pewnego rodzaju „zawłaszczenie,” o które nam chodzi.

Nie udało się natomiast pójść krok dalej. Mianowicie pojawiła się koncepcja parku. Miały być nasadzenia. W zamian za dbanie o nie, żeby nikt ich nie zniszczył, każdy miał dostać krzaczek dla siebie; do ogrodu. Niestety nasadzenia nam się nie udały. Ale mimo tego współdziałanie z lokalną społecznością jest potrzebne, dlatego że jest to normalne współdziałanie obywatelskie. Jest to po prostu zwyczajne uznanie faktu, że ludzie, którzy mieszkają na jakiejś przestrzeni mają prawo o niej mówić i na nią oddziaływać. Jeżeli im się tego prawa odmówi to bardzo możliwe, że jedyny pomysł na jaki wpadną, to ją zniszczyć. Trzeba po prostu unikać takich sytuacji. Niestety w bardzo wielu przypadkach ludziom, z powodu beznadziejnej sytuacji w jakiej są, przychodzą do głowy dosyć głupie pomysły.

Stefan Symotiuk: Jestem pracownikiem Zakładu Filozofii Kultury UMCS. Z zainteresowaniem słucham tej dyskusji, lecz wydaje mi się, iż odbywa się ona jak gdyby w różnych tempach. Ta dyskusja powinna być dyskusją wyjściową, podstawową, o bardzo ogólnej orientacji. A my zbyt szybko przeskakujemy do spraw zupełnie prozaicznych. Więc myślę, że dobrze byłoby troszkę zwolnić tempo naszego myślenia. Może głos filozofa będzie tutaj przydatny.

Muszę powiedzieć, że wszyscy, którzy wiele lat mieszkają w Lublinie czują, że w tym mieście coś jest nie tak. Ludzi trudno jest zintegrować, wszystko się rozprasza, gdzieś grzęźnie. Brak jest dynamiki wspólnoty miejskiej. Myślę, że miejsce, w którym jesteśmy, jest odpowiedzią na to dlaczego tak jest. Lublin właściwie nie ma rynku, nie ma agory. Jeżeli porównamy Lublin z Warszawą, Krakowem, Zamościem, czy nawet z Kazimierzem, to widzimy miejsce gdzie się wszyscy zbierają, tą grecką agorę, gdzie się można spotykać. Tutaj, w małej renesansowej przestrzeni rynku Starego Miasta umieszczono to gmaszysko; Trybunał Koronny, miejsce naszej dyskusji, które zajęło całkowicie przestrzeń i właściwie Lublin został tylko z deptakiem, przedłużonym w stronę Krakowskiego Przedmieścia. W tej sytuacji **„agoryzacja” Lublina powinna pójść w kierunku wykorzystania Placu Litewskiego, tak żeby to symboliczne miejsce spotkań mogło zaistnieć.** Trzeba oczywiście pomyśleć tylko, jak to zrobić.

Z tym także wiąże się kwestia wszystkich osiedli, które mają strukturę linearną. Mają deptaki, dlatego nie mają miejsca spotkań. I to niszczy Lublin. Jeżeli myślelibyśmy o jakimś „ruchu dobrej przestrzeni” to miałbym uwagę do samej idei „dobrej przestrzeni.” Otóż nikt absolutnie nie ma pojęcia co znaczy „dobre.” Pojęcie to od razu narzuca pewną wygodę, utilitaryzm, czy korzyść. Co znaczy „dobra przestrzeń”? Dlaczego dobra, a nie piękna? Myślę, że to słowo należałoby zastąpić innym. Tak jak w samochodach liczą się walory techniczne i estetyczne, i wtedy mówimy, że samochody są atrakcyjne, to tak samo powinniśmy mówić o przestrzeni atrakcyjnej, a nie tylko

dobrej, czy użytecznej; nie tylko pięknej, czy estetycznej, ale atrakcyjnej, mającej w sobie coś interesującego. Coś co na przykład przyciąga turystów, coś co nas samych w tej przestrzeni fascynuje. Przestrzeń powinna fascynować. Nie powinna być „dobra”, ale wzbudzać pewne napięcia i pewne reakcje aktywizujące ludzi.

Po drugie samo słowo „przestrzeń” moim zdaniem ma zbyt szeroki zakres. Myślę, że chodzi nam o przestrzeń publiczną, i tą przestrzeń, którą my zazwyczaj wiążemy ze zwrotem „architektura krajobrazu.” Miasto ma swój krajobraz, podobnie jak istnieją krajobrazy wiejskie, czy krajobrazy naturalne. Moim zdaniem istnieje ogromna praktyczna potrzeba, żeby tą kwestią architektury krajobrazu zająć się w skuteczny sposób. Wyobrażam sobie, że w każdym dużym mieście, a nawet powiecie, czy gminie powinien być ktoś, kto pełniłby rolę architekta krajobrazu, bez podpisu którego – tak jak to się dzieje w przypadku konserwatora zabytków – nie można by nic budować. Ten architekt krajobrazu miejskiego, tak jak jest to w naszym wypadku odpowiadałby za jakość. Ponieważ za rok mamy wybory samorządowe, może jakaś partia obieca, że wprowadzi instytucję miejskiego architekta krajobrazu i przyzna mu takie kompetencje, że będzie on sprawował pieczę nad całościową strukturą miasta.

I jeszcze ostatnia sprawa, na którą powierzchownie zwrócę uwagę. Troszkę **za mało myślimy o mieście i o przestrzeni w duchu XXI wieku.** Z tej naszej dyskusji jak na razie wynika, że mamy jakieś wyczucie, że weszliśmy w XXI wiek, i że potrzebne są pomysły z większym rozmachem idee przestrzeni miejskiej. Takie, które chociażby początkowo i stopniowo dawały się realizować. Uważam, że myśląc o przyszłości, nie powinniśmy obawiać się wizji pomysłów z większym rozmachem. Bo kto stawia sobie małe cele, ten mniej osiąga, niż ten kto stawia sobie nawet cele nierealne, ale duże.

Marcin Skrzypek: Zanim dyskusja potoczy się dalej i padną dalsze pytania, chciałbym odnieść się do wysuniętej przez pana Dylewskiego propozycji zorganizowania forum dyskusyjnego na temat przestrzeni, jakiego przykład-miniaturkę mamy w tym momencie. Przyjmujemy wyzwanie i zobaczymy co da się z tym zrobić. Chociaż jest to coś co w tym momencie nas przerasta, to możemy dostosować się do rozmiarów problemu.

Krzysztof Michalkiewicz: Chciałbym jeszcze raz zabrać głos, ponieważ sądzę, że moja wypowiedź została źle zrozumiana. Chodziło mi o to, że brutalizacja życia istnieje na różnych płaszczyznach. Zaczyna się od języka, a kończy na przestrzeni. Jeżeli nie ma ład w języku, w myśleniu, to później wychodzą nam „potworki” architektoniczne. Dlatego jeżeli rozmawiamy o ładzie przestrzennym, o przestrzeni publicznej i chcemy, żeby była ona piękna, to warto zwrócić uwagę na język.

Jestem w tym mieście zaangażowany w różne sprawy i jak patrzę na taśmy z meczu piłkarskiego na Motorze, na agresję, na brutalność to zastanawiam się skąd się ona bierze. Brutalizacja wynika z wielu rzeczy. Uważam, że jeśli patrzymy spokojnie, jak jedna osoba obraża drugą, to dajemy przyzwolenie na zachowanie, które powoduje później te inne zachowania, których już nie tolerujemy. Uważam, że ta dyskusja, która jest zorganizowana w instytucji miejskiej – a Teatr NN jest instytucją miejską – jest ważną dyskusją. Znajdujemy się w budynku należącym do miasta, a na

sali jest dużo ludzi pracujących w tym mieście. Nie ma powodu, żeby język dyskusji był tak mało elegancki. Dlatego warto i myślenie, i język przyporządkować idei piękna i ładu.

Zbigniew Korzeb: Mogę zmienić język, ponieważ z zawodu jestem polonistą, natomiast popieram pana Dylewskiego w jednej kwestii. Jeżeli zabiera się społeczeństwu przestrzeń obywatelską, polityczną, publiczną to trzeba pomyśleć o konsekwencjach. Powiem panu, że te wszystkie burdy stadionowe też z czegoś wynikają i znaleźliby się socjologowie, którzy mogliby to w jakiś sposób usprawiedliwić. Natomiast ja nie jestem piniaczem z natury, tylko mam barwny język. Czasami w takich sytuacjach lepiej jest rozruszać dyskutantów, lub uczestników barwnymi stwierdzeniami, tym bardziej, że ani jedno nie było nieprawdziwe.

Panie prezydencie, musi być pan przygotowany na to, że jeżeli pojawią się jeszcze drażliwsze tematy to do tych, lub innych drzwi zastuka mnóstwo osób. I jak w programach pani Jaworowicz oni będą się darli. Niestety nie jesteście bez winy. Zgadza się z panem Dylewskim w jednej kwestii: że utajniono prace nad planem przestrzennego zagospodarowania. One są tajne i pomimo tych narzekań prawdopodobnie nadal będą tajne, aż się ktoś upomni. Pan wybaczy, ale mam dosyć chodzenia i pytania: „I co w tej sprawie, proszę pani, proszę pana?”. Od wielu lat uzyskuję odpowiedź: „Nic panu do tego.” Mogę dać panu tych przykładów naprawdę dużo. A przecież mówimy o przestrzeni wspólnej, o przestrzeni urbanistycznej, kulturowej, jak określił to przed chwilą pan filozof kultury. Natomiast główny problem, jaki mamy w mieście polega na tym, że władza od lat wycofuje się przed dyskusją; robi uniki. Niech pan udowodni i przekona mnie, że jest inaczej. Będę panu za to bardzo wdzięczny.

Znam mnóstwo inicjatyw prowokowania dyskusji publicznej, które kończyły się na niczym tylko dlatego, że urzędnik zawsze coś „zakreślił”, lub schodził na boczny tor. Nie było dyskusji i to dlatego sprawa się rozmydla. Zostało zmarnowanych wiele pięknych inicjatyw. Bardzo przepraszam, ale pani Ewa Kipta jest tutaj nie tylko „Judymem”, ale także urzędnikiem. Pytam innych urzędników, co zrobili żeby jej pomóc. Nic! Natomiast pieniądze budżetowe, które mogłyby pójść na coś konkretnego (a ona to postuluje) nadal idą na wypłatę odszkodowań od sporów, które się odbyły wczoraj.

Zadam panu pytanie: jak długo jeszcze będzie tak, że rzeczy oczywiste, jak na przykład temat Placu Litewskiego, będą rozstrzygane przez komunikaty w prasie. Kiedy wreszcie będzie wzięty pod uwagę pogląd pana filozofa kultury, który mówi, że **nie mamy w tym mieście wspólnej przestrzeni; no może poza tym kawalkiem deptaka**. Czas najwyższy o niej porozmawiać, a potem ją wytworzyć. Po to są właśnie te rozmowy, mniej lub bardziej burzliwe, żeby urzędnicy zaczęli słuchać ludzi, którzy mówią o sprawach istotnych: o braku placu, o braku wspólnej przestrzeni, o bałaganie.

Przez delikatność nie mówimy o tym, że ten ład albo nieład przestrzenny istnieje dzięki dwóm wielkim sypialniom miasta. Spowodowali to, żyjący jeszcze architekci i urzędnicy, i robią bardzo dużo, żeby on się nie skończył. Wszystkie te pomysły dotyczące LSM-u i Czubów nie posuwają kwestii rewitalizacji tego obszaru ani o krok. Tam już jest plan zagospodarowania przestrzennego, natomiast ani jednej wskazówki co zrobić, żeby ta rewitalizacja się dokonała. Dlatego, jeżeli nic się

nie zmieni to nadal będziemy poruszali się w pustostłowi. I myślę, że taka dyskusja jak ta, jeżeli będzie miała odzew w postaci reakcji urzędników, może ten stan przerwać. Może nas obudzić. Popieram pana Dylewskiego i popieram, mam nadzieję, już rozpoczętą inicjatywę. Zaczniemy o tym rozmawiać, bo to jest nasza przestrzeń i nie pozwólmy jej „zepsuć”.

Krzysztof Michalkiewicz: Mi również przestrzeń Lublina nie do końca się podoba. Cieszę się, że jako miasto, w ramach programu rewitalizacji, wyszliśmy z inicjatywą dyskusji i konsultacji. Cieszę się również, że nasza instytucja, jaką jest Teatr NN zainicjowała dzisiejsze spotkanie. W tym temacie się zgadzamy, natomiast ja czekam na dyskusję: „Ile wolności, a ile planowania centralnego?” Z jednej strony mamy postulat powołania architekta miejskiego, który będzie o wszystkim decydował, o każdej inicjatywie w tym mieście. Z drugiej strony istnieje coś takiego jak wolność architektów. Głównie w tej sprawie czekam na dyskusję. Jak mocno ingerować w przestrzeń publiczną, a w jakim stopniu zostawiać decyzje właścicielom i architektom? Uważam, że tutaj jest oś dyskusji. Widziałem kilka miast na świecie, które powstawały dosyć swobodnie przez całe wieki. A teraz zaczynamy dyskutować, czy nie zawłaszczyć tej przestrzeni. A czy będzie to urzędnik, czy architekt miejski, to tak naprawdę niewiele zmienia.

Marcin Skrzypek: Może wejdę już trochę w rolę osoby, która podjęła wyzwanie rzucone przez pana Dylewskiego i powiem o pewnych regułach dyskusji. Musimy nauczyć się mówić również o sprawach bolesnych. Moje wrażenia po przeprowadzeniu tych siedmiu rozmów w „Scriptores” były bardzo podobne do wrażeń pana Korzeba. W tej całej gmatwaninie przepisów, kompetencji (a może i braku kompetencji), nie ma ducha rzecznika interesu społecznego, interesu obywateli. Ten duch nie jest na pewno „generowany” przez urzędników i o tym też musimy nauczyć się rozmawiać.

Głos z sali [1]: Jestem z zawodu psychologiem, więc nie mam żadnego związku z tematem od strony zawodowej. Jako mieszkanka Lublina i jedna z pierwszych tu osób prosiłam o głos. Natomiast prowadzący dyskusję nie zwracał na mnie uwagi przez dłuższy czas. To właśnie pokazało jak się toczy dyskusja. Biorą w niej udział władze, które okazują jednak bardzo silne emocje i osoby, które są bardzo mocno zainteresowane tematem.

Marcin Skrzypek: Poczuję się do winy.

Głos z sali [1]: Chciałbym podzielić się trzema refleksjami z punktu widzenia mieszkańca. W 1990 roku wprowadziłam się do nowego, błękitnego wieżowca. Ludzie zaczęli trochę poznawać przestrzeń i siebie nawzajem. Skończyło się na tym, że minęło 15 lat, a klatki schodowe nadal wyglądają źle. Za każdym razem z tych klatek były kradzione różne rzeczy. Zabierano kwiaty, zabierano wazon. W końcu doszliśmy do wniosku, żeby pomalować pustą butelkę i włożyć do niej suche kwiatki, a wtedy nikt ich nie weźmie. Też zostały zabrane. No i zniechęciliśmy się. Ale mam refleksję: wydaje mi się, że sprawa bardzo mocno leży w mentalności. Życzyłabym sobie, żeby takie właśnie dyskusje odbywały się częściej i może przy różnych okazjach; abyśmy mogli ten temat docenić.

Druga rzecz: Idąc po Lublinie cieszę się, że powstają nowe budynki (a w ciągu ostatnich 15 lat dość

często i gęsto). Indywidualnie wszystkie one mi się podobają. Natomiast **mam poczucie bałaganu i braku wpływu na to, co się dzieje w mieście**. Chociaż nie jestem fachowcem to wiem, że kolory jednego budynku, który jest koło mnie, są okropne. Obok stoi drugi budynek i one zupełnie do siebie nie pasują. I nie trzeba być żadnym fachowcem, trzeba mieć trochę wrażliwości estetycznej, żeby po prostu czuć się źle w takiej właśnie okolicy i w takich budynkach.

I trzecia sprawa, która boli mnie najbardziej, to jest tak zwana (nie wiem, czy wyrażam się fachowo) „**mała**” architektura, czyli np. **pomniki, podnoszące atrakcyjność miejsca**. Będąc na Zachodzie, zachwyciłam się piękną architekturą. I to nie dlatego jest piękna, że mi się podoba, ale dlatego, że czuje się w niej pewien poziom. Wiadomo, że został faktycznie rozpisany konkurs wśród prawdziwych artystów, rzeźbiarzy, a nie tak, jak jest to u nas w mieście. U nas robią to rzemieślnicy i najmuje się ich chyba tylko dlatego, że robią to tanio.

Bolesław Stelmach: Czy pani to przeszkadza?

Głos z sali [1]: Przeszkadza mi dlatego, że to nie jest sztuka. To jest coś strasznego. Cieszyłam się, że powstanie nowa, mała fontanna; jedna i druga. Razi mnie tam dużo. Nie jestem fachowcem, ale razi mnie jako mieszkańca.

Marcin Skrzypek: Jest pani fachowcem jako psycholog.

Głos z sali [1]: Marzyłabym, żeby w Lublinie były ogłaszane konkursy, przynajmniej na tą „małą” architekturę. Żeby decydowało gremium i wybierali również mieszkańcy. Dlaczego nie? Uważam, że też mam duże poczucie estetyczne i mogę uczestniczyć w decydowaniu o tym co mam codziennie mijać i na co się napotykać.

Głos z sali [2]: Moje nazwisko Grudziński i jestem studentem Politechniki Śląskiej, Wydział Architektury i Urbanistyki. Po pierwsze, chciałbym pogratulować pani Ewie wyróżnienia na Habilocie. Po drugie: Studiowałem zeszły semestr w Szwecji, w Geteborgu i jednym z naszych podręczników była książka „City in culture”, gdzie znajduje się publikacja pani Ewy o Lublinie. Śmiem twierdzić, że Szwedzi wiedzą o Lublinie więcej niż jego mieszkańcy, właśnie dzięki takim publikacjom. Co do Lubelskiej Karty Dobrej Przestrzeni, to moim zdaniem jest tutaj za mało konkretów. Próbowaliśmy w Geteborgu zdefiniować, czego ludzie oczekują od dobrej przestrzeni. Między innymi oczekują bezpieczeństwa oraz identyfikacji z przestrzenią. Takich, właśnie konkretniejszych stwierdzeń spodziewałbym się w Lubelskiej Karcie Dobrej Przestrzeni. A trzecia rzecz to (już chyba padł tutaj taki pomysł) zorganizowanie większej debaty na temat przestrzeni publicznej; debaty z udziałem mieszkańców.

W Geteborgu organizowaliśmy warsztaty dla zwykłych mieszkańców. Każdy był zaproszony do tego, żeby współuczestniczyć w warsztatach, których wynikiem było uchwalenie nowego planu zagospodarowania przestrzennego, w którym ludzie mają duży udział. U nas mógłby coś takiego zorganizować nowopowstały lubelski Wydział Architektury z udziałem np. Teatru NN.

Marcin Skrzypek: Dziękuję za definicję „dobrej przestrzeni,” zwłaszcza, że to już drugi głos w tej

sprawie. Pan Dylewski pisał pracę doktorską na ten temat i doszedł do wniosku, że dobra przestrzeń to taka, która spełnia nasze potrzeby. To jest bardzo proste. Natomiast nasuwa się pytanie, czy rozeznajemy swoje potrzeby lepiej niż inwestorzy rozeznają swoje. To jest pytanie retoryczne.

Romuald Dylewski: Pod adresem pana prezydenta chciałem zauważyć, że dzisiejsze spotkanie jest wyrazem głodu dyskusji na temat kultury miasta. I muszę powiedzieć coś do pewnego stopnia na usprawiedliwienie władz miasta. W Polsce w tej chwili nie ma dobrego czasu na dyskusje tego rodzaju. To jest błąd naszego systemu gospodarki przestrzennej, że doprowadziła do tego, że właściwie obywamy się bez dyskusji społecznej. I tutaj różnica między podejściem zachodniej Europy a nami jest kolosalna, porażająca.

W Warszawie, przy udziale Towarzystwa Urbanistów i Stowarzyszenia Architektów została zorganizowana wielka narada, na temat opracowania nowego studium rozwoju stolicy. Ta narada zgromadziła pięć, dziesięć razy więcej ludzi niż ta dzisiejsza – a więc tłum. Były dyskusje i były rozmaite krytyczne uwagi pod adresem tego studium. Urząd Miasta Warszawy miał za zadanie to opublikować, ponieważ taki był cel: uspołecznić ten proces. Niestety wycofał środki, dlatego że nie chciał, aby krytyka miasta została upubliczniona. Ileś tam osób wysłuchało dyskusji i koniec.

Są dwa wektory w systemie gospodarki przestrzennej: **aby jak najsprawniej podejmować i realizować decyzje inwestycyjne, oraz żeby stwarzać przestrzeń jak najlepszą jakościowo.** To są dwa sprzeczne ze sobą wektory. Kraje mądrzejsze, bardziej dojrzałe zawsze wybierają drugi. Uważają, że ważniejsza jest przyszłość, niż sprawność decyzji. U nas niestety wszystko idzie w kierunku sprawności decyzji, a jej z kolei niewątpliwie przeszkadza każda dyskusja; czy to dyskusja fachowa, czy społeczna. Do tego trzeba trochę czasu, trochę wysiłku. Żebyśmy wszyscy mieli satysfakcję z tworzenia, rozwoju Lublina jako miasta europejskiego po prostu musimy ten mankament naszego systemu jakoś obejść, dopóki nie zostanie on załatwiony europejskim systemem prawnym. A wiem, że działania idą już bardzo silnie w tym kierunku.

Panie prezydencie, jestem fachowcem niestety z bardzo ograniczoną możliwością ingerencji w podejmowane działania. Widzę dziesiątki błędów, przed którymi środowisko urbanistów, które reprezentują obroniłoby miasto, po prostu w jednej dyskusji. Warto tą dyskusję podejmować, chociaż potrzebuje ona troszkę czasu i wysiłku, a czasem prowadzi nawet do tego, że trzeba coś komuś wytknąć. Ale naprawdę ważniejszy jest efekt końcowy, społeczny. Mówię o tym, ponieważ jest taka opinia, że każda dyskusja to jest „rozrabianie” – „jest paru takich oszołomów i teraz będą przeszkadzać”. Rzeczywiście może się i tak zdarzyć, ale środowiska, które tutaj reprezentują są w stanie nie tylko przeszkodzić, ale także pomóc. Dlatego uważam, że miasto powinno podejść do tego pomysłu życzliwie, a Brama Grodzka zorganizować forum. My zgłaszamy naszą pomoc organizacyjną.

Euzebiusz Maj: Jestem mieszkańcem jednego z osiedli, które zostały wspomniane przez uczestników tej dyskusji. Władze miasta nie wyobrażają sobie jak niewiarygodne spustoszenie nastąpiło w przestrzeni publicznej w ciągu ostatnich lat. Podam jako przykład, przywołane tutaj przez pana Stelmacha osiedle Słowackiego, znane w całym świecie jako najbardziej wzorcowy model przestrzeni publicznej. W tej chwili tego się nie tylko nie dostrzega, ale również wypacza za

zgoda urzędników miejskich – osiedle, które było pomysłem ostatniego wspianego architekta-wizjonera; osiedle, które powinno stać się kanonem myślenia wszystkich architektów i urbanistów w Lublinie. Ta wizja praktycznie przestała istnieć.

Naprawdę jesteśmy bardzo daleko w tyle. Apelowałbym tutaj o to, żeby mimo, iż Teatr NN jest placówką miejską, nie przyjmował sugestii pana prezydenta i żeby nie tłumić tej dyskusji, a prowadzić ją nadal.

Krzysztof Michalkiewicz: Myślę, że nie zrozumieliśmy się.

Marcin Skrzypek: Pan prezydent oczywiście nie mówił o tłumieniu tej dyskusji, a wręcz wskazał jej kierunek. Powinniśmy słuchać takich sugestii ze strony władz, bo one też mają pewne potrzeby i szukają porady.

Elżbieta Pytlarz: Jestem architektem. Mam pytanie do pana dyrektora Ryszarda Rackiego: kto jest odpowiedzialny za wydawanie pozwoleń na termorenowację i kto jest odpowiedzialny za kolorystykę, którą się funduje mieszkańcom? I tak jak zapytała pani architekt krajobrazu: „Jak się identyfikować z przestrzenią?” Mieszkam w ogromnym brązowo-pomarańczowym budynku. Mam takie pytanie: Kto jest za to odpowiedzialny?

Ryszard Racki: Wszelkie projekty wykonują osoby do tego uprawnione.

Elżbieta Pytlarz: Ale kto wydaje pozwolenia na taką kolorystykę?

Ryszard Racki: Urzędnik, który wydaje pozwolenie na budowę – po prostu nie ma on prawa dyskutować z uprawnieniami osoby uprawnionej.

Elżbieta Pytlarz: Wobec tego, czy jest jakaś szansa by mieszkańcy mogli protestować przeciwko temu co otrzymają?

Ryszard Racki: Oczywiście, że tak.

Elżbieta Pytlarz: W jaki sposób mogą to zrobić? Może ktoś mieszka w takim bloku i może jeszcze zostanie uratowany np. od koloru fioletowego?

Ryszard Racki: Inwestorem jest przedstawiciel zespołu mieszkańców, czyli ciała społecznego. I mieszkańcy są świadomi, co będzie malowane na ich ścianie.

Głos z sali [3]: Ja właśnie wiem, że nie są. Chciałam tylko powiedzieć, że ja też mieszkam w takim samym bloku pomalowanym w okropne kolory. I nikomu, ani z naszej, ani z sąsiednich klatek, które tam się znajdują nie podobają się kompletnie te kolory. I nikt z nas nie ma na to wpływu. Zobaczyliśmy je dopiero wtedy, kiedy okna naszych mieszkań i naszych balkonów zostały pomalowane.

Ryszard Racki: I to znaczy, że nikt na to nie ma wpływu?

Głos z sali [3]: To znaczy, że nie było możliwości wyrażenia zdania na ten temat.

Ryszard Racki: Czy pani budynek jest własnością spółdzielni mieszkaniowej?

Głos z sali [3]: Tak.

Ryszard Racki: I tu jest odpowiedź.

Głos z sali [3]: Wiem, ale czy to się da jakoś zmienić?

Ewa Kipta: Panie dyrektorze, może ja uściślę tą odpowiedź. Po prostu chodzi o to, że spółdzielnie oraz inni administratorzy zasobów mieszkaniowych są kompletnie bezkarni. Takiej dyskusji, o której my tutaj mówimy brakuje na poziomie elementarnym; na poziomie właśnie koloru balustrady na schodach, koloru śmietników, czy też tempa opróżniania tych śmietników itd. To są, po prostu rzeczy, od których uwolniono mieszkańców i kazano im być zadowolonymi, bo inaczej to będzie więcej kosztowało. I to jest jeden z głównych przesądów dotyczących administrowania zasobami mieszkaniowymi oraz każdymi innymi. Właśnie to, że dyskusja spowoduje, że jednemu będzie się podobało coś innego niż drugiemu. Jak w przysłowiu: jeden lubi ogórki, drugi organisty córki.

Nie chodzi o to, że ktoś ma inne gusty, że jeden lubi zielony, drugi fioletowy, a trzeci jakiś inny. Chodzi o to, żeby w ogóle była dyskusja. Żeby kolor ściany został wybrany po spotkaniu z mieszkańcami, którzy będą musieli tą ścianę oglądać. Należy się do tego przyzwycząić. I taka procedura powinna zostać wprowadzona. Jak to zrobić, nie wiem. Wiem jedno. Są metody na spółdzielnie. Można na walnych zebraniach wymusić na zarządach ujawnianie decyzji remontowych, inwestycyjnych itd. To się daje robić. Ale jest trudne i wymaga wysiłku. I niestety, nikt poza spółdzielnią, samorządem spółdzielni państwa w tym nie wyręczy, dlatego że naprawę nie może.

Ryszard Racki: To jest właśnie odpowiedź na pytanie „kto jest odpowiedzialny za kolorystykę w naszym mieście?”. My sami, a nie urzędnik.

Ewa Kipta: Przepraszam. To już jest nadinterpretacja tego, co powiedziałam.

Ryszard Racki: Przepraszam, ale jest to odpowiedź na zadane pytanie. Nie może być tak, iż o każdej błażej, poważnej, czy mniej poważnej sprawie ma decydować jedna osoba. Zróbcie spotkanie spółdzielni i zadecydujcie, czy budynek ma być czerwony, czy zielony. A my jesteśmy tylko po to, żeby to zaakceptować. Nic poza tym. My nie jesteśmy od oceny tego, czy to jest brzydkie, czy ładne, bo trudno nam jest dyskutować, czy czerwony jest kolorem brzydkim, czy nie. A krótko rzecz biorąc, Prawo Budowlane wyklucza taki rodzaj ingerencji.

Marcin Skrzypek: Przepisy dają dużą swobodę w sposobie podejmowania decyzji, ale ta swoboda,

inicjatywa zmian, nie jest w rękach ludzi, którzy z tej przestrzeni korzystają.

Ewa Kipta: Za dużo pośredników?

Marcin Skrzypek: Chodzi mi o to, że istnieje wolność, z której nie potrafimy korzystać dla swojego dobra. Nie mamy narzuconego obowiązku planowania, jak było dawniej, więc nie planujemy, albo planujemy tylko na tyle, na ile wymagają inwestorzy; dlatego że chcą inwestować i potrzebują oferty inwestycyjnej. Tu właśnie wychodzi brak wizji, co zrobić ze swobodą decyzyjną i w jaki sposób z niej skorzystać tak, żeby ludzie nie czuli się pokrzywdzeni; żeby nie czuli, że decyzje są podejmowane za nich.

Elżbieta Pytlarz: A co zrobić, jeżeli jako członkowie spółdzielni ustalamy, że nasz blok ma być czerwony, a sąsiedni blok należy do innej spółdzielni, która zaprotestuje: „Dlaczego my mamy patrzeć na czerwony blok? On nam się w ogóle nie podoba”. Wróciłabym tutaj do tematu, od którego zaczęliśmy – przestrzeni wspólnej, przestrzeni publicznej. Może ten „koordynator”, o którym ktoś wspominał powinien pojawić się w takich sytuacjach, kiedy dla jednych czerwony blok jest OK, a dla innych nie.

Kamil Nieścioruk: Jestem geografem kartografem. Jeden z panów na początku mówił, że dowiadujemy się o czymś po fakcie, z gazety, że coś będzie budowane. W momencie gdy nam ocieplają blok dowiadujemy się, że on będzie – założmy – żółty z czerwonym. Wydaje mi się, że skoro administracja jest w stanie wieszać informacje o tym, że odbędzie się odczyt wodomierzy, to może też wyjść do ludzi i ich poinformować o tym, że w przyszłym roku będzie ocieplany ich blok: „Zapraszamy, są trzy projekty. Zdecydujemy wspólnie.” Ludzie sami za próg własnego mieszkania nie wyjdą.

Siedzę w domu i nagle widzę, że wymieniają mi drzwi wejściowe do klatki. A to jeszcze nic w porównaniu z kolorystyką bloku. A mówimy tylko o osiedlu. Siedzę w domu i boję się, czy na następnej radzie miasta nie przejdzie zagospodarowanie Górek Czechowskich. Bo co z tego, że mi się nie podoba koncepcja inwestora na Górkach Czechowskich, skoro na ten temat nie ma dyskusji między zwykłymi mieszkańcami Lublina. Mogą rozmawiać specjaliści, mogą rozmawiać decydenci, ale tak naprawdę co z tego? To jest w końcu nasza przestrzeń. Pomijając, czy Górki Czechowskie w tej chwili są ładne, czy nie, to jednak jest teren zielony. A zieleni, zwłaszcza większych obszarów, brakuje. Niech decyzje o tym będą podejmowane wspólnie przez ogół zainteresowanych. To może jakaś utopijna wizja, ale dlaczego by nie spróbować?

Marcin Skrzypek: Chciałbym teraz wypowiedzieć sakramentalną formułkę: „Jeżeli nie ma więcej pytań to...” Widzę, że nie ma, więc chciałem podzielić własną refleksją. Te wszystkie problemy są rzeczywiście bardzo skomplikowane. Jeżeli państwo odnieśliście wrażenie, że to jest męczące, to tak rzeczywiście jest. Natomiast są pewne standardy wypracowane, np. w miastach partnerskich Lublina, z których można skorzystać. Oni po prostu poszli dalej w kulturze przestrzeni niż my. Po drugie, mamy własnych specjalistów, którzy mogą powiedzieć, co zrobić, żeby zadziałało. Po trzecie, usłyszałem kiedyś od jakiegoś wynalazcy powiedzenie, które mówi, że jeżeli się właściwie sformułuje problem to rozwiązanie pojawi się samo. I uważam, że to jest święta prawda. Wszystko

polega na tym, żeby właściwie sformułować problem i nie bać się tego. Myślę, że to się da zrobić wspólnymi siłami. I tutaj przypomina mi się kolejny cytat: „Pomożecie?”

Głosy z publiczności: Pomożemy!

Marcin Skrzypek: Teraz chciałbym prosić o ostatnie słowo osoby, które są tutaj najważniejsze.

Jacek Korbus: Chciałbym nawiązać do wypowiedzi pana profesora Symotiuka. Na początku zawsze musi być wizja, wizja dalekosiężna, kształtowana z głębi serca i intelektu. Jeżeli chodzi o grecką agorę, to nie był to po prostu po prostu plac. To był wyraz pewnej idei społeczeństwa, pewnej wartości, pewnego systemu postrzegania całości naszego bytu na tej ziemi. I to jest – już nie będę rozkładał tego na czynniki pierwsze – sprawa fundamentalna; żeby taka agora była i Lublinie. Nie tylko dosłownie, w sensie placu, ale w sensie przestrzeni, wypowiedzi.

Ewa Kipta: Po pierwsze zgadzam się z koniecznością pracy nad wizją, może niekoniecznie spójną, ale na pewno wizją. Aby wiedzieć ku czemu się zmierza. Natomiast jako metodę zaproponowałabym jeszcze jedną rzecz. Amerykanie mają taką zasadę, że jeśli spotykają się z trudnym do rozwiązania problemem, dzielą go na kawałki, które już są rozwiązywalne. To znaczy, że od czegoś trzeba zacząć, chociażby od pozamiatania. Ale to jest zdaje się bardzo odważne założenie.

Bolesław Stelmach: Bardzo podoba mi się ta teza, że trzeba zacząć od pozamiatania. Po pierwsze bardzo dziękuję, że państwo się tutaj zjawiliście i że zechcieliście w tej dyskusji uczestniczyć. Jak słyszeliśmy środowiska profesjonalne od wielu lat deklarują, że bardzo chętnie takie dyskusje zorganizują. Ale to Teatrowi NN zawdzięczamy fakt, że po 15 latach taka dyskusja ma miejsce. I mam nadzieję, że będzie trwała nadal. Nie zastąpi ona innych dyskusji, dyskusji w Stowarzyszeniu Architektów Polskich, w Towarzystwie Urbanistów Polskich, w Radzie Miejskiej, w Komisji Ładu. Absolutnie nie. Bez tych dyskusji nie będziemy mieli naszkicowanych problemów, nie będą one zdefiniowane, w związku z tym będą nierozwiązywalne.

Na koniec podrzucę parę pomysłów na kolejne dyskusje: „**Plan zagospodarowania, a społeczność lokalna**”, „**Jakość planu lokalnego i jego problemy**”, „**Nowa architektura. Wartości i zagrożenia**”, „**Jakość przestrzeni publicznej**”, „**Ochrona przestrzeni historycznych**”.

I w końcu temat, który mnie osobiście boli i bardzo się cieszę, że odezwał się na ten temat pan Euzebiusz Maj. Będę się upierał przy tym, że osiedle Mickiewicza, a szczególnie osiedle Słowackiego wymaga rewitalizacji. Póki co nie wymaga reanimacji, bo taki stan, to kolejny stopień uwięzienia osiedla. Ty Ewo głównie zajmujesz się tymi obszarami, które trzeba reanimować, a nazywasz to rewitalizacją. Natomiast ja mówię o rewitalizacji, czyli o spojrzeniu na to, jak struktura społeczna i przestrzenna miała działać – zgodnie z założeniami Haczewskiego czy Hansena – a jak działa dzisiaj.

Marcin Skrzypek: Ponieważ w przetargach wygrywają pomysły najtańsze, więc możemy się pocieszać, że nasza przestrzeń jest tania. Cieszę się, że mogliśmy o tym porozmawiać w miejscu

być może nieprzypadkowym. Mi się ono nie podoba, bo funkcjonuje jako sala ślubów, gdzie zawsze mówi się „tak”. Natomiast znajduje się ono na rynku, którego nie ma. Być może to jest właśnie ta agora i dobrze się stało, że to tu rozmawialiśmy.